Tom XVII. Nr. 1.

1. lipca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Opieka Boska nad dziećmi.

Trzechletnia Basia zachorowała śmiertelnie. Biedne dziecko nie jadło przez trzy dni, ani ręką ani nogą nie ruszyło, jeno leżało rozpalone, w strasznej gorączce. Marcinowa Burakowska, matka Basi, nie sypiała po całych nocach, tylko krzątała się i zwijała koło chorej jedynaczki, a nie było jej komu wyręczyć, bo mąż służył we dworze za furmana i pojechał właśnie z panem w daleką drogę. W końcu Marcinowa wybrała się z Basią do Lwowa, do doktora, ale pieszo, bo nie miała za co nająć wozu. Idąc ze swoim drogim ciężarem, wstąpiła do swojej matki, która mieszkała w drugiej wsi, niedaleko lwowskiej rogatki, wypoczęła i przyszła do Lwowa jeszcze dobrze przed południem. Poczciwi ludzie pokazali jej drogę do doktora, a doktor był jakiś także bardzo poczciwy pan, bo z nią rozmawiał jakby z równą sobie i wypytywał zkąd jest, jak się zowie, jak się jej powodzi, a dziecko opatrywał jakby swoje własne. Potem siadł, napisał karteczkę do apteki, pouczył Marcinowę jak ma dawać to lekarstwo, i nakazał jej aby nazajutrz przyszła sama, bez dziecka, jeżeli się maleńkiej Basi przez noc znacznie nie polepszy.

W aptece prędko zrobili lekarstwo i Marcinowa poszła z dzieckiem do domu. W drodze spotkała matkę, która jej radziła aby u niej została póki mąż nie wróci albo dziecko nie wyzdrowieje; więc została. Noc minęła niespokojnie, nazajutrz przed południem Marcinowa zostawiła chorą Basię pod okiem babki, a sama poszła do doktora. Gdy mu opowiedziała o dziecku wszystko jak się patrzy, doktor pokiwał głową i dał inną karteczkę do apteki.

Marcinowa pospieszyła do apteki, ale tu powiedzieli jej, że lekarstwo będzie gotowe dopiero za pół godziny, zapłaciła więc i pobiegła do miasta aby dziecku kupić tymczasem jakie bawidełko. Wraca nakoniec, w aptece pełno ludzi z karteczkami i flaszkami ani się docisnąć nie może.

— A gdzie proszę pana moje lekarstwo? — zapytała nieśmiało aptekarza.

Aptekarz wskazał ręką.

— Już zapłacone, proszę pana.

— Dobrze, idźcie z Bogiem — rzekł aptekarz.

Marcinowa wzięła flaszeczkę co stała na kraju i poszła smutna z tem lekarstwem do domu a szła prędko, by myślała sobie, że może życie dziecka zależy od jej pospiechu. Ale gdy wychodziła z miasta w uliczkę co do wsi prowadziła, postrzegła otwarty kościółek, a z kościółka biło światło i zalatywały głosy pieśni nabożnej. Marcinowę jakby pociągło do kościółka.

— Nie ma czasu — rzekła sama do siebie — ale kto wie, może mój pacierz będzie także lekarstwem dla biednej Basi..... Bóg jest miłosierny.

Weszła więc do kościoła, padła przed ołtarzem Matki Boskiej boleśnej i modliła się gorąco. I tak się zatopiła w modlitwie, że ani spostrzegła jak godzina minęła, a tymczasem nieszpory się skończyły, wszyscy ludzie powychodzili z kościoła, a ona jeszcze klęczała i Przenajświętszej Orędowniczce powierzała swoje troski. Nakoniec dziadek co kościół zamyka, brząknął jej parę razy kluczami nad uszyma Dopiero wtedy zerwała się i poleciwszy jeszcze raz siebie i dziecko swoje opiece Boskiej, pobiegła spiesznie do domu.

Tymczasem w aptece, w której przed godziną brała lekarstwo, stał się wielki gwałt. Gdy Marcinowa ztamtąd poszła i nikogo zresztą obcego nie było w sklepie, aptekarz zapytał swego pomocnika:

— Panie Szymonie, a gdzieście podzieli tę truciznę co wam kazałem zrobić?

— Stoi tam na stole — odpowiedział pomocnik.

— Ależ tu nic nie ma, tylko lekarstwo dla jakiegoś dziecka.

Pomocnik przybiegł, popatrzył.

— Wielki Boże! to ta kobieta ze wsi wzięła truciznę zamiast swego lekarstwa!

— Jezus Marja! — zawołał aptekarz — toż jak tylko kropelkę z tego połknie ona dziecina, to zaraz skona w najstraszniejszych męczarniach.

Pomocnikowi aż włosy stanęły na głowie, załamał ręce.

— Cóż ja teraz nieszczęśliwy poradzę, o Boże! o Boże!

Aptekarz nie słuchał jego narzekań, jeno co tchu wziął płaszcz na siebie i pobiegł z receptą do doktora.

— Panie doktorze — rzekł do niego — co to za kobiecie daliście tę receptę?

Doktor popatrzył na niego.

— Dla Boga, co wam jest panie aptekarzu? wyglądacie jak w gorączce.

— Na miłość Boską nie pytajcie mię o nic, bo teraz nie ma czasu, tylko odpowiadajcie prędko na moje pytania, bo mi bardzo pilno — prosił aptekarz.

— Komu ja dałem tę receptę? Alboż ja wiem!... Hm .. hm... zaraz, zaraz... może sobie przypomnę; to jakaś kobiecina ze wsi. Aha!... Nazywa się Marcinowa Burakowska, tak, tak... Burakowska.

— A zkądże ona jest, panie doktorze?

— Zkąd jest? hm... hm... podobno z Lipowca, czy z Bukowca... nie, nie... z Dębniowa, tak z Dębniowa, tam jej mąż służy we dworze za furmana.

— A więc Marcinowa Burakowska z Dębniowa.

— Tak, panie aptekarzu, ale cóż się stało?

— Jutro wam powiem wszystko — odpowiedział aptekarz — teraz nie mam ani chwilki czasu. To powiedziawszy uścisnął doktora za rękę, wybiegł czemprędzej, a dopadłszy takiego powozu jakich pełno stoi w wielkich miastach na ulicach a zowią się fiakry albo doróżki, wsiadł do takiego i kazał pędzić co koń wyskoczy do Dębniowa.

Droga była dobra, konie leciały jak szalone, fiakier w trzy kwandranse upalił milę i stanął w Dębniowie. Aptekarz wyjrzał z powozu, postrzegł przechodzącego wieśniaka i zapytał:

— Gospodarzu, a gdzie tu mieszka Marcinowa Burakowska?

Wieśniak wskazał ręką domostwo oddalone o jakie dwieście kroków. Popędził tam powóz, aptekarz wyskoczył, przyszedł do drzwi, zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Zagląda przez okno, a nie widzi nikogo, spieszy więc do sąsiada i pyta znowu o Marcinowę Burakowską. Sąsiad go objaśnił, że Marcinowa od dwóch dni mieszka u swojej matki w Zastawicach, tuż pod rogatką lwowską.

Biednemu aptekarzowi pot kroplisty wystąpił na czoło, rozpacz go ogarnia; tyle czasu minęło, dziecko już może od godziny nie żyje. Bądź co bądź trzeba spieszyć, wsiada więc do powozu i pędzi co koń wyskoczy do Zastawiec, a myślą modli się do Pana Boga.

Nakoniec przybył przecie do Zastawiec i spotkał tu samego wójta, który mu pokazał gdzie się ma udać. Stanął więc przed chatą, a że wejść nie śmiał, zajrzał przez okno do izby. I cóż ujrzał? Oto na łóżku leżało dziecię żywe czy śpiące, tego poznać nie mógł, a przy niem siedziała ta sama kobieta, którą widział w aptece.

Aptekarz wpadł do izby, a w tejże chwili zerwała się i Marcinowa, bo ją nie mało zdziwiło, zkąd się tu wziął obcy jakiś pan, którego nie poznała.

— Czyście już dali dziecku lekarstwo? — zapytał cichym, drżącym głosem.

— Nie, proszę pana, nie dałam jeszcze, a cóż to? o cóż to chodzi?

— Boże chwała ci na wieki! — zawołał aptekarz prawie ze łzami i wzniósł oczy i ręce ku niebu, potem skwapliwie

dopytywał się o flaszeczkę z mniemanem lekarstwem, a odebrawszy ją z rąk Marcinowej, popatrzył jeszcze czy doprawdy nie odtykana i czemprędzej schował do kieszeni.

Marcinowa nie mogła wyjść ze zdziwienia.

— Podziękujcie Bogu, że wam dziecię uratował, bo gdyby było skosztowało tylko kroplę tego lekarstwa...

— Jezus Marja! panoczku, to cud prawdziwy... jakem szła z tem lekarstwem, to mię tak coś ciągło do kościoła, żem się oprzeć ani wyrwać ztamtąd nie mogła. Zabawiłam tam z godzinę... przychodzę do domu, a moja Basienka spi jak już od tygodnia nie spała, anim się jej dobudzić nie mogła..... wszystko się tak składało dziwnie, jakby umyślnie dlatego, żeby jegomość miał czas przyjechać Ale dlaczegoście mi proszę pana takie złe lekarstwo dali.. i jak mię tu panoczek znaleźli?

— Przez omyłkę wzięliście flaszeczkę z trucizną zamiast waszego lekarstwa.. a żem was znalazł, to tylko Boska opieka nad waszem dzieckiem. Teraz miejcie nadzieję, teraz bądźcie pewni, że ta wasza Basia nie umrze; kiedy ją Bóg wszechmocny od takiego nieszczęścia uratował, to pewnie i nadal będzie się nią opiekował.

Marcinowej zabłysły łzy w oczach, stanęła przy łóżku i rozczulona patrzyła na dziecko.

— Zostańcie z Bogiem — rzekł aptekarz — spieszę do miasta do domu, gdzie dwoje takich samych maleńkich czekają na mnie. Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi.

— Niech Bóg nagrodzi jegomościa za dobre serce i poczciwość.

W tej chwili Basia się zbudziła i zawołała matki, a aptekarz tymczasem wsiadłszy do powozu pospieszył do domu.

Krakowiak o Krakowie.

Ptaszek skrzydłem trzepie
Z za gór słońce wstało,
I w rosie zaspane
Promienie płukało.

Wstało na niedzielę
Jasne słońce duże,
A obłoczki w koło
Jako białe róże

Jak gołębi wianek
Płyną przez niebiosy —
I krakowska ziemia
Wstała z chłodnej rosy.

Wstała z chłodnej rosy
Śliczna, ukochana,
Niby wiejskie dziewczę
Na święto ubrana
W kłosy i bławatki:
Po nad Wisłą siedzi,
Czysta i spokojna
Niby po spowiedzi.

A gdy wiatr poranny
Przeleci po łanie,
To się zdaje człeku
Że ta ziemia wstanie —
I nabożną książkę
Po pod rańtuch schowa,
I wstanie i pójdzie
Na mszę do Krakowa.

Oj krakowska ziemia
Płacze gdy się śmieje,
I z wesołej piosnki
Dziwny smutek wieje.
I kwiateczki smutne
Co tam kwitną wiosną
Oj nie dziw, bo kwiaty
Na mogiłach rosną.

I nie dziw, że kwiatek
Smutnie czółko nosi,
Gdy go rzewna piosnka
I cicha łza rosi.

Oj krakowska ziemio
Matko moja miła!
Czem ty tak głęboko
W serce mi się wryła
Że gdy mi cię zbraknie
To w snach proszę Boga,
Byś mi się przyśniła
Matko moja droga.

By mi się przyśniły
Trzy mogiły duże,
Stare groby królów
Na wawelskiej górze.
I ten dziad, co w bramie
Florjańskiej spiewa,
I te pochylone
Po nad Wisłą drzewa.

I wsłuchane myśli
Zda się wtedy słyszą,
Jak krakowskie dzwony
Z szumem się kołyszą.

Jak topole stare
I krakowskie wieże,
Za naród, za cały
Szeptają pacierze.

A tak każda rzewnie
Swoje modły gada,
Tak boleśnie w niebo
Modlitwą kołacze
Że gdy z gwiazd wieczorem
Chłodna rosa pada —
To mi się wydaje,
Że to Pan Bóg płacze.

I tą łzą oblany
Znów się modlę szczerze,
I w grobowce patrzę,
I w ich życie wierzę.

El.

Wódka jako lekarstwo.

— Znowu o wódce! — zawoła nie jeden co ten numerek „Dzwonka“ weźmie do ręki — czy już nam nie dacie spokoju? czy chcecie abym ani kieliszka wódki nigdy nie wypił? Tego już za wiele! Ksiądz w kościele prawi o wódce, dziedzic nas od wódki odwodzi, w urzędzie zowią nas pijakami i ciągle nas tą wódką prześladują, a oto biorę „Dzwonek“ do ręki, aby w nim co uciesznego przeczytać, i cóż tam stoi? znowu o wódce!

Ha! cóż robić ludzie kochani? Wiecie sami, że wódka jest naszem największem nieszczęściem, większą klęską jak pomór na bydło, stokroć większą jak nieurodzaj i głód. Jest to wróg, który nas przyprowadza do ubóstwa, który żony nasze i dzieci czyni nieszczęśliwemi a w końcu i nas samych zabija. Jakżeż o nim milczeć! Jest to wróg straszny i nie łatwo z nim się rozprawić; dlatego to już od tylu lat i księża i panowie i gazety tak ostro uderzają na niego. Niestety, rady mu dać nie mogą! Daj Boże abyśmy raz tej hydrze głowę ucięli, a wtedy już pewnie nikt o wódce nie wspomni.

Wszyscy wiecie, że być pijakiem to brzydko i niepożytecznie. Brzydko — bo jużcić jak się gospodarz mający żonę, dzieci i czeladź spije, a potem legnie gdzie pod płotem, albo w rowie, to nie bardzo piękny widok; niepożytecznie — bo wódki za darmo nie dają, a jest ona droga i bardzo. Wszyscy to wiecie, a jednak coś was ciągnie do karczmy i nie ma pomiędzy wami może ani jednego, coby wódki nie pijał. Dlaczegoż to tak jest?

Dlaczego tak jest, wy sami tego nie wiecie. Niektórzy mówią, że w wódce siedzi djabeł, który ludzi kusi; nie wierzcie temu, bo to wierutne bajki, a posłuchajcie tego co ja wam powiem o wódce; wszystko to będzie najświętsza prawda. Owóż według mojego zdania, wy wódkę dlatego lubicie, bo wódka na pozór zda się być w niektórych razach bardzo dobrą rzeczą, i wy się tem łudzicie. Odrobina wódki robi taki skutek jak lekarstwo zapisane przez doktora i w aptece kupione, chociaż więc jedni przeklinają wódkę jako truciznę, drudzy ją chwalą jako lekarstwo.

Żeby człowiek mógł zawsze utrafić i nie pił jeno wtedy kiedy mu to dla zdrowia potrzeba, i nie więcej jak potrzeba, może wódka doprawdy nie byłaby złą rzeczą. Ale cóż, i utrafić trudno i wymówić się niepodobna, kiedy zaczną częstować i przymuszać do picia.

Jeszcze gorzej jest z tem, że wódka choć brzucha nie napełni, przecie głodnemu pożywienie zastąpi. Biedak co czasem dzień albo dwa nie je, dostawszy zkąd kilka groszy, nie ma czasu kupić za to ziemniaków albo zboża, gotować, albo mleć na mąkę i piec chleb. A może i pieniędzy ma za mało, żeby za nie mógł kupić ziemniaków albo zboża. Cóż on wtedy robi? idzie do karczmy, przepija swoje pieniądze, i oto już głodu nie czuje. Wódka zastąpiła mu jadło. Owóż więc człowiek biedny nie dlatego tak często zagląda do karczmy, żeby go tam djabeł ciągnął, ale też i nie dlatego, aby chciał pić wódkę na lekarstwo, ale po prostu dlatego, że go nie stać na lepsze śniadanie albo obiad, jeno na kielich wódki i dlatego, ponieważ mu się zdaje, że się wódką prędzej i taniej jak czem innem nasyci, ponieważ mu się zdaje, że wódka daje mu więcej sił jak gotowana strawa.

Ale cóż się przez to dzieje? Oto przez to, że mu się tak zdaje, zostaje pijakiem; ludzie się od niego odwracają, a ksiądz go piekłem straszy. Lecz czyż się godzi potępić kogo za to, że mu się źle zdaje? My myślimy, że go trzeba oświecić, nauczyć, z błędu wyprowadzić, aby mu się na przyszłe czasy źle nie zdawało i my to sobie zamierzamy. Zadanie to nie lada, oświadczamy więc z góry, że o tem w jednym numerze nie skończymy.

Weź do ust ziarnko pieprzu, rozgryź i nie wypluwaj. Zapiecze cię i narobi się z tego jednego ziarnka pieprzu pełna gęba śliny. To samo dzieje się w żołądku po wódce. Wódka zapiecze go i wyciąga z niego soki, tak jak pieprz ślinę, a wyciąga takie soki, że się w nich jadło rozpuszcza niby sól w wodzie i nie leży w żołądku kamieniem.

Jak zjesz kawałek słoniny, a pierwej najadłeś się chleba albo ziemniaków, to ci się słonina oblepi w żołądku koło innego jadła i ta kula leży tam i przewraca się a strawić jej nie możesz,

i choćeś się najadł, sił ci nie przybyło, bo człowiek tylko z tego ma siły, co strawi dobrze. Ażeby człowiek prędzej strawił słoninę, dobrze jest popieprzyć ją, bo pieprz drażni żołądek i wyciąga z niego soki co tłuszcze rozpuszczają i ułatwiają trawienie; nie ma też nic złego napić się po słoninie trochę wódki, bo wódka taki sam skutek sprawia.

W takim razie wódka jest lekarstwem i nie można nikomu brać za złe, że tego lekarstwa używa, lecz za to trzebaby gniewać się na niego, że się słoniną objadł i do tego bez pieprzu.

Przytem wódka robi w człowieku także jeszcze drugi skutek. Oto, gdy się człowiek wódki napije, to ta wódka piecze nie tylko żołądek, ale także i mózg i nerwy, a popędza krew w żyłach. Przez to człowiek staje się żywszym, rozwesela się, nabiera sił i ochoty do pracy, jego głowa znękana orzeźwia się, nogi nie czują znużenia, ręce aż się proszą, aby je zaprządz do dalszej pracy. Zatem i w tym razie wódka zda się robić dobry skutek.

Ale do tego potrzeba najprzód napić się tylko odrobinę wódki, a po drugie nie wielki to zysk orzeźwiać się wódką. Kto się pracą tak zmęczy, że aż osłabnie, że się ani ruszyć nie może, najlepiej zrobi gdy sobie łegnie i spi, póki siły same nie wrócą, a kto się nagle wódką orzeźwi, ten potem jeszcze większe znużenie czuć będzie.

Zdarza się czasem, że ten co pracuje, choć się i zmęczy, nie może jeszcze odpoczywać, bo musi pierwej swoją robotę skończyć, a jeżeli do końca daleko, a ręce już mdleją, a z czoła pot się leje kroplisty, cóż wtedy począć? czem się orzeźwić? Wtedy ma się rozumieć, nic lepszego, jak palnąć kielich wódki, ale tylko jeden i to pod tym warunkiem, że jak się praca skończy, to nie będziesz na nowo pił wódki, tylko sobie należycie odpoczniesz i posilisz się dobrą strawą.

Kiedy naprzykład jaki posłaniec idzie w daleką drogę z pilnym listem i spieszyć się musi, a uszedłszy parę mil tak nogi zmorduje, że go już słuchać nie chcą, wtedy nic popełni grzechu jeżli się wódką orzeźwi. Gdy żołnierze długim marszem zmęczeni, ujrzą przed sobą oko w oko nieprzyjaciela, z którym się bić muszą, a dopiero wtedy będą mogli odpoczywać,

gdy go odpędzą, albo zwyciężą, albo kiedy miasto szturmem zdobędą, bardzo dobrze uczynią, gdy przed bitwą albo szturmem wypiją po kieliszku wódki, bo ich ta rozgrzeje i sil im doda. Gdy podczas żniw żeńcy muszą pospieszać się z pracą, bo już wieczór zapada, a nazajutrz ma być święto, albo też dlatego, bo się chmurzy i za chwilę lunie deszcz, wtedy także, jeżeli są bardzo zmęczeni, mogą napić się wódki; nie tylko im ona nie zaszkodzi, ale owszem będzie dla nich zbawiennem lekarstwem.

Otoż w takich razach wódka jest lekarstwem, i byleś ją pił w miarę, zrobi ci dobry skutek. A przecie, a przecie wódka pomimo tego stała się naszem największem nieszczęściem, naszą największą klęską, wrogiem naszym, którego zwalczyć nie możemy.

Dlaczegoż to?

Nie starczy tu już miejsca na odpowiedź, będzie więc o tem w następującym numerze.

O mieście Lwowie.

Miasto Lwów jest największe w całej Galicji i jest jego stolicą, to też tutaj mieszka największa głowa rządu, namiestnik cesarski. Jak wielki jest Lwów, wyobrazicie sobie, gdy wam powiem, że z wszystkiemi placami i gruntami co do niego należą ma pięć mil obwodu, a domów na wszystkich placach i ulicach, tak w mieście jak na przedmieściach, jest więcej jak trzy tysiące. Lwów leży w kotlinie otoczony zewsząd wzgórzami. Środkiem kotliny płynie rzeczka Pełtew. Ulice i place są pięknie, równo wybrukowane kamieniami, dlatego choćby deszcz największy padał, można przejść z ulicy na ulicę prawie suchą nogą. Na rynku kędy się codziennie zgromadza mnóstwo ludzi kupujących i sprzedających, stoi ratusz, gmach ogromny, murowany, z wysoką wieżą, na której jest zegar, co bije godziny tak głośno, że w całem mieście słychać; na tej wieży siedzi stróż, co we dnie i w nocy nieustannie patrzy na całe miasto i jak gdzie pożar wybuchnie, daje znać, aby ludzie biegli na ratunek. Na wszystkich placach i ulicach palą się

w nocy lampy i choć noc najciemniejsza, jest tak widno, że nie tylko każdego kogo spotkasz, możesz łatwo poznać, ale na upartego mógłbyś i czytać chodząc w nocy po ulicy, choć nawet księżyc nie świeci. Do tych lamp są osobni ludzie co je zapalają, gaszą i czyszczą. Wielka szkoda, że koło Lwowa nie płynie jaka wielka rzeka, jak naprzykład Wisła koło Krakowa i Warszawy; byłaby z tem wygoda, bo by można zboże, drzewo i inne rzeczy dowozić do miasta tanim kosztem, ale biedny Lwów nie ma nawet dość wody na własną potrzebę, a ta co ją piją jest sprowadzana podziemnemi rurami. Woda w Pełtwi jest śmierdząca i brudna, bo do niej spływają wszystkie nieczystości miejskie, nawet się wykąpać nie można w tej rzeczce i trzeba iść aż za miasto do jakiego stawu. Kamienice są jedna w drugą bardzo piękne, wysokie na dwa i trzy piętra, wszystkie pięknie pomalowane i takie świeże jakby z pudełeczka. Na niektórych stoją różne figury i osoby kamienne, tak cudnie udane, iż się wydają jak żywe. Jest też we Lwowie kilka bardzo pięknych i ozdobnych pałaców. Pałac biskupi i ten co w nim mieszka pan namiestnik są także dość piękne. Najpiękniejszy ze wszystkich jest pałac wystawiony przed kilku laty umyślnie na mieszkanie dla inwalidów czyli tych żołnierzy, co na wojnach zostali kalekami. Ci biedacy mieszkają sobie na stare lata w tym ślicznym pałacu jak u Pana Boga za piecem. Bardzo jest także piękny dworzec kolei żelaznej, tej co prowadzi do Krakowa, tylko to źle, że stoi strasznie daleko za miastem. Obok niego stoi znacznie mniejszy i już nie taki piękny, drugi dworzec, z którego się wyjeżdża koleją żelazną do Czerniowiec. Tak są we Lwowie dwa dworce a niedługo wystawią i trzeci dla tej kolei, co ma iść do Brodów.

W mieście Lwowie jest po ulicach latem i zimą wielki porządek. Każdy gospodarz trzyma osobnego człowieka tylko do tego, aby mu śmiecie w kamienicy i koło kamienicy zamiatał albo śnieg uprzątał. Prócz tego aresztanci ciągle zamiatają ulicę i śmiecie wywożą. W lecie jak jest proch wielki, to wywożą wodę beczkami i skrapiają ulice, co tak wygląda jakby deszcz zrosił i ludzie nie potrzebują walać się w kurzu i prochem odechać.

We Lwowie mieszka najwięcej Polaków, ale są też i Rusini i Niemcy i Żydzi. Wszystkich mieszkańców, licząc w to i dzieci jest więcej jak siedmdziesiąt tysięcy. To też na ulicach ruch jest ogromny, ludzie się snują, zda się jak mrówki w mrowisku, zda się że tu ciągle i ciągle jest jarmark, bo przy takim ruchu to i gwar jest ogromny; a tu powozy pędzą, a tu żołnierze bębnią, a tu znowu muzyka przygrywa; tu się śmieją, tam płaczą, jeden drugiego potrąca, a wszyscy się spieszą, każdemu pilno. Kto pierwszy raz przyjedzie do Lwowa a przypatrzy się i przysłucha temu wszystkiemu, to aż mu się w głowie zakręci.

Po ulicach pełno sklepów z przeróżnemi towarami, jakich w żadnem miasteczku nie ujrzysz na jarmarku. Wszystko, czego tylko dusza twoja zapragnie, o czem tylko pomyślisz masz pod ręką jak na zawołanie, byleś miał tylko pełny worek w kieszeni, bo bez tego ani rusz w takiem wielkiem mieście. Są też tutaj wszyscy rzemieślnicy jakich tylko człowiek potrzebować może i wszystko ci zrobią. Jest i młynów kilka i to ogromnych, a że nie ma rzeki coby ich koła obracała, to ludzie tak sobie poradzili, że je pędzą parą. Miły Boże ktoby to był dawniej pomyślał, jaki to wielki użytek może być z prostej pary! Dziś para wozy ciągnie na żelaznej kolei, para młyny obraca. Robią też we Lwowie zapałki, papier, ocet, sycą miód. Browarów, w których piwo warzą jest trzynaście.

Taka wielka mnogość ludzi jaka we Lwowie mieszka, żywi się głównie tem, co jej ze wsi doniosą i dowiozą. Ztąd też we Lwowie widać co dzień nie mało ludu wiejskiego. Gospodynie przynoszą mleko, śmietanę, jaja, kury i ogrodowiny rozmaite, gospodarze przywożą zboże, ziemniaki, drwa na opał, za to wszystko piękny grosz zbierają i wynoszą z miasta do domu. Ale muszą się mieć na baczności, bo jak w każdem wielkiem mieście, jest i tu nie mało różnych oszustów i rzezimieszków, co często gęsto nieostrożnego wyprowadzą w pole. Najwięcej takich oszustw dzieje się na Zarwanicy, gdzie sami żydzi mieszkają.

Kościołów katolickich obrządku łacińskiego jest we Lwowie dwadzieścia i dwa; z tych najbogatsze i najpiękniejsze są:

archikatedralny, gdzie arcybiskup odprawia nabożeństwo, dominikański, jezuicki, bernardyński i karmelicki, ale i innym nic nie brakuje, tylko że są cokolwiek mniejsze. Ruskich cerkwi jest siedm, najpiękniejsza jest archikatedralna, pod wezwaniem św. Jura, na wyniosłem wzgórzu. Jest także trzecia archikatedra we Lwowie, ormiańska, także katolicka, tylko innego obrządku. Lwów to ma przed innemi miastami, że tu mieszka aż trzech arcybiskupów: łaciński, ruski i ormiański, czego nie masz w żadnem innem mieście. Są także we Lwowie domy modlitwy i dla innych wyznawców, jako to: dla lutrów, schyzmatyków i żydów, którzy tam, każdy po swojemu, oddają chwałę Panu przedwiecznemu.

Są też we Lwowie szkoły rozmaite, w których młodzież uczy się czego tylko zapragnie zacząwszy od abecadła, aż do najwyższych mądrości, a z tych szkół wychodzą ludzie wyuczeni na profesorów, organistów, pisarzy, kupców, urzędników, inżynierów, adwokatów, sędziów, doktorów, na aptekarzy, na księży itd, a ci młodzieńcy co chcą wyjść na ludzi, mogą się uczyć nie tylko w szkołach, ale także w bibliotekach czyli książnicach, gdzie są nagromadzone księgi wszelkiego rodzaju, we wszystkich językach i po polsku i po łacinie i po niemiecku i po francuzku; a te księgi może czytać każdy, kto tylko przyjdzie i poprosi, bo biblioteki są jak kościoły dla wszystkich otwarte. Z tych bibliotek najbogatszą jest biblioteka założona przez hrabiego Ossolińskiego. Był to pan bardzo bogaty a wielce szanowny. Żył oszczędnie a ogromne sumy wydawał na książki. Jak umierał, to tę bibliotekę ofiarował całemu narodowi a majątek swój zapisał na jej utrzymanie i pomnażanie.

Rozmaitych domów w których wszelkie biedactwo dostaje za darmo przytułek i wyżywienie pełno jest we Lwowie. Są cztery szpitale, z tych jeden dla dzieci a jeden dla żydów, są domy takie, w których dzieci, co się porodziły głuche i nieme albo ślepe, mają nie tylko przytułek, ale się też uczą rozmaitych nauk, jako to czytać, pisać, rachować, religji świętej, malować i rozmaitych rzemiosł, do jakiego które okazuje upodobanie. Oczywiście ślepi nie mogą się uczyć tego wszystkiego co

głuchoniemi ale i oni nie próżnują i wychodzą jakoś na ludzi. W innych znowu domach wychowują się sieroty ubogie i dzieci wyrobników biednych, którzy po całych dniach uganiać muszą za zarobkiem i nie mają czasu dzieci pilnować. Wszystkie te domy są pozakładane przez ludzi świątobliwych i utrzymują się z opatrzności Boskiej i darów pobożnych. Są znowu we Lwowie takie domy, w których kto potrzebuje, może na wieś, albo na dom, albo na jaki inny zastaw pożyczyć pieniędzy, wiele tylko chce i bez żadnego oszukaństwa, tak, że nikt nie potrzebuje zadłużać się u żyda i lichwę opłacać. Nawet i więzienia lepsze są jak gdzieindziej, bo tu aresztanci muszą po całych dniach pracować i darmo chleba nie jedzą, a do tego mają szkołę, w której się uczą różnych pożytecznych rzeczy.

We Lwowie jest też bardzo wesoło, bo na każdej ulicy szynków co niemiara. Tam po całych wieczorach skrzypek rznie od ucha, flet piszczy, basy huczą, schodzą się chłopcy i dziewczęta i przy skocznej muzyce wycinają hołubce. Aż miło patrzeć jak to wszystko raźno i zwinnie wywija po całodziennej pracy. I cóż mają lepszego robić? Dla panów jest teatr gdzie różne komedje i sztuki pokazują, a biedny czemże się zabawi jeżeli nie tańcem? Piękna muzyka przygrywa także w ogrodach po przedmieściach gdzie znowu państwo przechadzają się, jedzą i piją. Można też przechadzać się po wałach, są to po prawdzie mówiąc gładkie i równe gościńce, drzewami po obu brzegach wysadzone; z tych drzew jest dużo cienia i chłód, dlatego w lecie zawsze tam pełno ludzi; jedni chodzą a drudzy siedzą na ławeczkach i odpoczywają pod cienistemi drzewami. Te gościńce dlatego się nazywają wałami, bo są założone w tem miejscu, gdzie dawniej usypane były wały z ziemi dla zasłony, aby się jaki nieprzyjaciel nie wdarł do miasta i ludzi nie pokrzywdził. Za dawnych czasów, był Lwów otoczony nie tylko temi wałami ale i murem wysokim i dość grubym. Były też tu niegdyś dwa zamki. Po jednym nie ma już ani śladu, z drugiego są szczątki na górze wyniosłej, z której widać całe miasto jak na dłoni. Że to taki piękny widok z tej góry, założyli tam bardzo ładny ogród, wprawdzie nie owocowy, jeno lasowemi drzewinami wysadzony, ale i tak bardzo przyjemny.

Chcielibyście zapewne usłyszeć coś odemnie i o ludziach wiejskich co w około Lwowa mieszkają. Żałuję mocno, że wam o nich nie wiele pochlebnego powiedzieć mogę. Powinni się mieć dobrze, bo wszystko co im się z łaski Pana Boga urodzi, znoszą do miasta na sprzedaż i przedają drogo, ale cóż, kiedy im to jakoś nie wychodzi na pożytek. Co który zarobi, to zmarnuje na fraszki, na bzdurstwa, a najczęściej przepije i rzadko gdzie trafi się jaki porządniejszy i rozumniejszy gospodarz.

Rozumny ojciec.

Franciszek Karpiński, nasz pobożny pisarz i autor wielu pieśni wiejskich i nabożnych, opowiadał o sobie, że gdy był małem jeszcze chłopięciem w domu swoich rodziców, niebogatych ale nadzwyczajnie uczciwych i zacnych ludzi, lubił czasem coś cudzego, co mu się podobało, wziąść i schować. Nie często mu się mogło to przytrafić, bo surowego ojca bał się jak ognia, a dobrej, czułej matki nauki pięknie szły do serca dziecięcia. Miał jednak skrycie tę skłonność, i pewnego razu gdy młocki młócili w stodole ojcowskiej, zobaczył u jednego ładny nożyk, który mu się bardzo podobał i zdałby mu się do rozmaitego majsterstwa chłopięcego. Zła ochota go zdjęła do owego nożyka, czatował na niego, a gdy młocek coś robiąc koło cepa położył go na progu stodoły, mały Franciszek wziął go, ukrył dobrze i odszedł niebawem. Czy to który z młocków podglądnął, czy rodzeństwo u niego zobaczyło, dosyć że ojciec dowiedział się o całej historji. Jaki był strach chłopca — niepodobna opisać — bo przeczuwał, że ojciec ukarze za grzech kradzieży, nie śmiał jednak ani słowa wyrzec, bo wiedział, że nie ma nic na swoją obronę, tylko padł plackiem ojcu do nóg i z cichutkim płaczem, drżąc przyrzekał poprawę. Ojciec nie łajał, nie unosił się, jak to czynią niektórzy ojcowie gdy dziecko zawini, ale z powagą, surowością i smutkiem wypowiedział w krótkich słowach chłopcu, że skłonność jego do najszkaradniejszego grzechu, może go doprowadzić do hańby, nieszczęścia i do piekła, i że kradzież, którą popełnił zasługuje na karę, której mu

darować nie może i nie daruje. Chłopiec czuł sam już, że winien jest kary. Ojciec zaprowadził go do stodoły, kazał samemu oddać nożyk wieśniakowi, przeprosić go i pocałować w rękę, co Franciszek uczynił z wielkim wstydem, a potem wymierzył mu sam rózgi za karę. Nie dość na tem — zawiózł go wkrótce do miasteczka i zaprowadził na plac, gdzie wiele ludzi się zeszło i wyglądało czegoś ciekawie. Miano wieszać złoczyńcę, szubienica stała i wóz z księdzem i winowajcą przyjechał. Chłopcu strasznie serce biło, a gdy nieszczęśliwego pociągnięto — chłopiec ukrył twarz na łonie ojca i o mało nie zemdlał, bo był tkliwego i łagodnego charakteru.

— Patrz, ten winowajca był także złodziejem, a z początku, za młodu, zaczynał także od drobnych rzeczy — aż skończył na wielkich zbrodniach i zginął na szubienicy. Los ten może i ciebie spotkać, jeżeli na zawsze nie wykorzenisz w sobie złej skłonności póki jesteś młody.

Franciszek nigdy w życiu nie zapomniał tej nauki i tego widoku. Nigdy od tego czasu obcej rzeczy nie doknął, wdzięczny był ojcu do śmierci, utraciwszy go czcił osobliwym sposobem jego świętą pamięć, został godnym i zacnym człowiekiem, którego Polska cała dotąd poważa. Zamiłowany w życiu wiejskiem, składał najwięcej pieśni dla wieśniaków. Od niego to mamy tę znajomą nam wszystkim pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“ i wiele innych, które po kościołach spiewają.

Dobra nauka dla rodziców! Ileż ich grzeszy ciężko przed Bogiem, nie karząc surowo swych dzieci za drobne kradzieże; dzieci te włożone do grzechu, dusze swe gubiąc, złorzeczyć im kiedyś będą przed Bogiem. *B. E.*

RÓŻNOŚCI.

Zaraza na bydło już się kończy. Donosimy wam wesołą nowinę. Oto zaraza na bydło, która się zaczęła w Galicji jeszcze w styczniu tego roku, już się zmniejsza i da Bóg miłosierny skończy się niedługo. Na tę zarazę częścią padło, częścią dobito więcej jak trzy tysiące sztuk bydła w całej Galicji. Teraz są jeszcze ślady zarazy tylko w powiecie żydaczowskim i w powiecie rohatyńskim.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.